Janina Łagoda

Wiele wskazuje na to, że im bardziej partię rządzącą przytłaczają rozterki, z tym większą determinacją pławi się w propagandowych eliksirach – ale to zaledwie chwilowy błogostan odległy od realności. Dotąd nie znaleziono skutecznego sposobu na neutralizację owych dolegliwości, choć pretoriańskich ratunkowych pomysłów było wiele. Zdarzenia można co najwyżej objaśniać, interpretować, wzbogacać okolicznościami wówczas im towarzyszącymi i późniejszymi również, lecz zakusy profilowania minionego czasu na sloganowe potrzeby bieżącej polityki są niestety cynizmem, uprawianym z zawziętością przez rozliczne partyjne konsorcja, włącznie z warszawską Nowogrodzką giełdą. Okazuje się, że ponoć w jedynym narodowym młynie tam pracującym, zainstalowane rzeszota mają przeróżne wybiórcze otwory dla przesiewu patriotycznych zachowań wobec przeszłości, dnia dzisiejszego i perspektyw. Wspólnym mianownikiem jest wypełniająca je partytura jałowych bogoojczyźnianych tonów, zaś praktyka infantylnością tchnie, jak chociażby ów symboliczny przypadek dzierżawienia przez rządzącą partię swojej centralnej siedziby od izraelskiego właściciela, przed chwilą wykupionej przez polską spółkę hotelarską, co również ocieka tandetą wobec pisowskich deklaracji o suwerenności.
Jeśli tak prozaicznego problemu nie potrafi u podstaw rozwikłać rządząca partia, to po próżnicy hula jej skuteczność zawołań o niezawisłości ojczyzny. Z drugiej strony nie sposób uniknąć wpływów obcych na kraj. W tym kontekście zgubne są mentalne konflikty z międzynarodowym otoczeniem. Hipokryzja to określony stan umysłu, lecz oliwa prawdy ma długi termin ważności. Wysublimowani partyjni przyboczni w nadziei na karierę uczynią wiele, aby wizualne obrazy tzw. pisowskiej potęgi umilały doczesność wicepremierowi od bezpiecznych spraw, bo to przecież wokół jego osoby toczy się życie instytucji państwa i zapewne łechce podniebienie samotnika, ale zarazem wzbogaca jego tolerancyjność wobec najbliższych totumfackich, a oni we własnym egoistycznym interesie intensyfikują brawa na jego cześć. Analogicznych, powielanych odsłon z dawnych wodzowskich repertuarów, także w innych państwach sporo. W tej chwili bezpłatne kopiowanie tamtych zachowań trwa u nas w najlepsze. Z drugiej strony uwidaczniane są rozterki w partyjnym monolicie. Konsolidacja i rozbrat to, wbrew pozorom, bliskie sobie zjawiska. Tryumfalizm wspomagany propagandowym słowotokiem, bez rzeczowych wsporników, staje się zaledwie protezą dobrego samopoczucia. A już na pewno nie neutralizuje sceptycyzmu wyborców wobec partyjnych agitatorów, którzy są w stanie uczynić wiele, aby nie uronić krzty ze swej dostatniej egzystencji. W takich przypadkach zbawienne są końskie okulary zespolone ze strusią praktyką konkretyzowania idealistycznych partyjnych wizji.

Przygnębia oblewanie sosem triumfalizmu owego niedorzecznego melanżu. W sloganowym patriotycznym, ale w polskiej edycji nacjonalistycznym zgiełku najważniejsze są intratne etaty, a Rzeczpospolita niech sobie radzi. Smutny paradoks i zarazem prolog do niedawnych czasów, kiedy to w podobnych okolicznościach traciliśmy państwowość, którą później z wyrachowaną łaskawością przywracali nam inni. W tej chwili nie ma takiego zagrożenia, chociaż Prezydent RP zapewne wie lepiej czemu dał temu popis w Wólce Konopnej na zakończenie ćwiczeń Dragon 21. Przezorności nigdy za wiele, zwłaszcza jeśli wzięło się odpowiedzialność za bezpieczeństwo państwa i komfort życia obywateli. Niepojęte jest więc prowokowanie konfliktów z potomkami Wielkich, którzy także, jak po pierwszej wojnie światowej, tak i po drugiej

przywrócili państwowość i w życzliwym trybie nam pomagają.
Kiedyś nie chcieliśmy oddać guzika, do którego i dzisiaj się przyfastrygowaliśmy. Znów owo smutne zawołanie powraca, i co niepojęte, jest odświeżane przez prominentnych członków nawy państwowej. Wówczas w duchu mocarstwowej fantazji nie tylko go straciliśmy, ale razem z nim ojczyźniany garnitur, do którego był przyszyty. I o tym należy pamiętać, a nie rozpylać duszące opary nad naszą wielkością. Niechaj rządzący zejdą na poziom przyziemia, a nie błądzą po szczebelkach wiecowej drabinki. Wcześniej nim później szkody nierozważnych kroków wezmą górę i będą zamartwiać kolejne pokolenia. To już wyjątkowa niegodziwość wobec naszych następców, o których los rządząca ekipa tak bardzo się zamartwia, ale tylko w okolicznościowych ekspiacjach. Nieszczerość różnymi duktami przecina busz lichwiarskich obietnic.

Programowe nakładki

W sytuacjach trudnych dla rządzącej partii wypróbowaną formułą, często skuteczną, są publiczne prezentacje tytułowane tzw. nowymi otwarciami, które sprowadzają się do ogłaszania kolejnych, ponoć zmodernizowanych programów działania na rzecz państwa i obywateli. Zazwyczaj jest to kompilacja dotąd niezrealizowanych wcześniejszych zapowiedzi kraszonych enigmatycznymi innowacjami, które w wyrachowanym trendzie, ale o mglistym i odległym czasie ich spełnienia, mają przysporzyć wyborców rządzącej partii. Jest to perfidia. Cóż zaradzić temu, jeśli rozumna perspektywa zwycięzców jest zaprogramowana zaledwie na czterolecie, a później operacja jest powtarzana. Obskuranckie zachowanie wobec myślącej elektorskiej wyborczej mocy kładzie cień na nowogrodzkim adresie. Impregnacja wytrzymuje krytyczne sugestie. Tak w dzisiejszych czasach na polskiej ziemi funkcjonuje zarządcze perpetuum mobile w edycji kierowniczej partii, której przedstawiciele samoistnie popadają w krótkowzroczność, w czym nie może im pomóc nawet wytrawny optyk. Błądzenie jest ludzką rzeczą, ale trwanie w błędzie jest rzeczą diabelską (Augustyn z Hippony, 354-439).
Wyrachowany egoizm, perfidią moszczony ma się nieźle. W tym kontekście obłudnie wybrzmiewają hasła głoszone przez prominentnych polityków o mającym gwałtem nastąpić wzroście zamożności państwa i obywateli, zrównującym nas z bogatymi krajami Zachodu. Problem w tym, że one musiałyby się zatrzymać w rozwoju, czekając uprzejmie na polski dobieg. Jest to bodaj rodzima genetyczna mrzonka o mocarstwowości z jednoczesnym zamykaniem się przed współpracą z Zachodem, a to właśnie m.in. dzięki swobodnemu przepływowi kapitałów i demokratyczno – prawnych rozwiązań można łagodzić cywilizacyjne rozterki. Miast z aplauzem podejmować skuteczne czyny mnożące bogactwo i kulturową ogładę drepczemy w miejscu, upajając się bogoojczyźnianymi ogólnikami.
Przywoływanie na pamięć starych haseł i mnożenie kolejnych nasączonych partyjną sztampą programów, prezentowanych podczas kosztownych reżyserskich spektakli, pozostaje z natury w konflikcie z uczciwością wobec społecznych oczekiwań.
Sloganowe hasła nie mają pragmatycznego przełożenia na poprawę obywatelskiego dostatku i wolności. Nadal pozostają tylko zapowiedziami. Praktycznych rozwiązań na dziś i jutro brak. Są to wizje szklanych domów. Rządzący układ liczy, że po wygłoszeniu swoich, optymizmem napuszonych oracji dostąpią ablucji ze wszystkiego złego, co dotąd uczynili bądź zaniechali. Owacje sali wypełnionej wysublimowaną, reglamentowaną partyjną gawiedzią umocowuje trwanie rządzących w utopijnym błogostanie. Dzień następny po akademii okazuje się na nowo czasem pełnym wątpliwości, zatargów, werbalnych bijatyk, nierozwiązanych kwestii, a już na

pewno nie jest oczekiwanym błogostanem. Innymi słowy nic nowego pod słońcem (łac. nihil novi sub sole).
Rządzenie krajem to złożona procedura i w uproszczeniu jej skuteczność zasadza się na łączeniu wysokiej klasy branżowej fachowości ze społecznikowską pasją pomagania innym, jak i znawstwem reguł administrowania instytucjami państwa. Tych szlachetności nie nabywa się w momencie mianowania na odpowiedzialne stanowisko. Profesjonalistą też nie staje się z dnia na dzień. A już na pewno nie nobilitują nominatów rutynowe lokajskie wystąpienia podczas partyjno - rządowych konwentykli lub medialne aroganckie deklamacje prezentowane w trybie tzw. politycznego przekazu dnia. Amatorszczyzny nie da się zagłuszyć nawet teatralną, miłą dla ucha elokwencją. Liczą się wyłącznie pozytywistyczne czyny, a ich jak na lekarstwo.
Warto więc zastanowić się nad skutecznością owych jałowych bombastycznych rutynowych barokowych imprez arkadami niemocy spinanych. Rozsądnych objaśnień brak. Estradowa formuła prezentowania przykładowo tzw. Nowego Ładu bez zdania sprawy z realizacji poprzednich programów, a było ich sporo w dużej części niezrealizowanych, przykładowo sto tysięcy mieszkań, sto obwodnic, milion samochodów elektrycznych, budowa promów pasażerskich, produkcja dronów, szybka kolej, ciepłe posiłki w szkołach, likwidacja NFOZ, reforma ABW, zakaz hodowli zwierząt futerkowych etc., niejako z urzędu zakłada, że ma się do czynienia z kolejnym dokumentem o wartości ciężaru kartek, na których zostały odnotowane nowe pomysły.
Sceniczne odnowienie porozumienia trzech skłóconych partii to wyrachowany prymitywny zabieg, mający ponoć wzbogacić prestiż partii w wyborczych kalkulacjach. Przypuszczać należy, że koalicjanci tzw. zjednoczonej prawicy świadomie partycypują w samozagładzie. Kolejna to nieszczera edycja troski nowogrodzkich myślicieli o pomyślność tych, którzy dbają o sejmową przewagę rządzących. Rzecz niezrozumiała. Ale dlaczego tę polityczną jasełkę uwiarygodniała marszałek Sejmu, druga osoba w państwie; tego nie sposób wytłumaczyć. Okazuje się, że i dla niej koncyliacja jest trudnym pojęciem. Miast starać się zgłębić jej istotę wybrała widowiskową formułę konfrontacji z nakazu żoliborskiego mędrca w stylu: jeśli nie jesteś z nami, to przeciwko nam. Niezależność stała się nicością, a polityczne poddaństwo faktem. Nie jest to odosobniony przypadek, lecz ważkie ogniwo w łańcuchu agresywnej poetyki, która już zdążyła zawładnąć Trybunałem Konstytucyjnym, KRS, prokuraturą, po części sądownictwem etc., a to niepokojące fakty. Jedynym decydentem w tej dyspozytorni jest zwykły poseł, dorabiający na ministerialnym etacie od bezpieczeństwa państwa. Efektów żadnych. Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem, ale w odległości od mickiewiczowskiej istoty tej frazy. Dzisiaj to już inna, bo władcza malatura. Opozycyjne poselskie ławy są reprezentowane przez co najmniej połowę wyborców, a momentami nawet jest to większość. W tej władczej rozterce pomógł belgijski prawnik i matematyk V. D'Hondt (1841-1901). Formuła ze wszech stron krytykowana, ale nadal taką pozostaje. Konstruktywnych poselskich reakcji brak. Belg, ustalając kod zasiedlania parlamentarnych miejsc, czynił to w dobrej wierze. Polska wówczas znajdowała się w zaborczych interiorach.
Dla rządzących mnożenie reżyserowanych programów społeczno - gospodarczego rozwoju stało się ważkim narzędziem sterowania państwem. Tam gdzie pojawiają się dylematy, w sukurs przychodzi partia, i jak to często bywa, z zaprzęgiem obskurantyzmu w tle. Wyborcy się gubią w pędzącym rydwanie obietnic. Górę biorą łaskocące duszę porzekadła o zbliżającym się dostatku. Rezultaty owych przemyśleń owocują z reguły tym, że kolejne czteroletnie karnety bycia pod kopułą przy Wiejskiej niewiele się różnią od poprzednich, a optymizm na nowo topi się w gęstniejącej atmosferze partykularnych zawiści. Partyjni stangreci czynią sporo, aby ich

kwadrygi abordażami pojednanie niweczyły. W aktualnym formacie furman jest jeden z mnogością postronków w partyjnej sterowni i to w rozrzucie od łaskawości po brutalizm. Cel też jest jeden, aby instytucje państwa pozostawały w absolutnej dyrygenturze prawej i sprawiedliwej formacji. To wszystko składa się na pojęcie triumfu wedle definicji zjednoczonej prawicy. Demokratów to przeraża, a tzw. republikanów - rozłamowców rozpiera entuzjazm, że mogli się przyssać do pisowskiego obwarzanka. Ekstrapolacja, to dla nich, zdaje się dziedzina obca, zaś biblijne cuda bliskością.
Nowogrodzka zajezdnia dla wielu jest jedyną ostoją profitów. Z czegoś trzeba żyć. Materialne niegodziwości zarzucane poprzedniemu systemowi, bez zrozumienia ówczesnej strategii Wielkich wobec nas powodują, że ich dzisiejsze czyny nie zamartwiają i nie wzbudzają refleksji, mimo że przybrały karykaturalną postać prymitywnego, wyzbytego z jakiejkolwiek godnej myśli tendencję bogacenia się z wykorzystaniem bycia na politycznej platformie. Pobieżny przegląd prywatnych materialnych osiągów współczesnych dygnitarzy, również o tzw. solidarnościowych biogramach, pozostających w krytycyzmie do, jak to zwą, czerwonej epoki, zatrważa, a już na pewno niweluje mit o rzekomych bogactwach rządzących Peerelem, tak bezrefleksyjnie przytaczanych przez współczesnych. A wszystko ku usprawiedliwieniu swego dzisiejszego dostatku. Perfidia. Z drugiej strony zamożność, to chwalebna rzecz, pod warunkiem, że droga ku niej jest czytelna. Transparentność nade wszystko, a wówczas przeróżne tzw. antykorupcyjne instytucje staną się bezużyteczne. Naiwność, to też kategoria moralna, lecz wypełniona zbytnią prostotą i łatwowiernością. Cecha mało przydatne w politycznym hazardzie. Historia to fakty. Wielu oddających głos na Nowogrodzką liczyło na poprawę swego majątkowego statusu, po części zrealizowanego, przykładowo w formule socjalnego rozdawnictwa o różnym społecznym odbiorze. Ale wielu zwolenników pisowskiej opcji dręczy niedosyt w dostępie do konfitur.
W rządowej edycji sprawowania władzy mamona góruje nad przyzwoitością. Opozycja też ma niemało krezusów zrodzonych na parlamentarnej urodzajnej glebie układami nawożonej. Pora na refleksję. I nie chodzi o równanie ku najuboższemu, ale o roztropną egalitarność tego kursu. Lewica musi również zweryfikować swoje hasła o sprawiedliwości społecznej, bo i wśród jej ideologów niemało materialnych wybrzuszeń o enigmatycznych, sezamowych źródłach. Warto, aby partyjna zwierzchność w zgłębionych przemyśleniach nie popadła w wygodną interpretacją filozofii materializmu. Na ideowym ugorze trudno o dobre plony.
Wolność, która dzisiaj jest strojona przeróżnymi ozdobnikami (narodowa, państwowa, gospodarcza etc.) dawno temu została zdefiniowana, a jej najprostsze określenie, to takie, że istnieje wówczas, kiedy jest możliwość wyboru, a to klejnot społecznej szczęśliwości. W rodzimych realiach jednak tonie w kipieli kontrowersji. Dzisiaj graniczne słupy swobody wyznacza Nowogrodzka, co dla znaczącej części społeczeństwa stanowi despekt. Ów podstawowy przymiot demokratycznego państwa u nas politycznymi wiatrami inhaluje. Jej praktyczne refleksy stały się monopolem rządzącej partii i są w propagandowym formacie roztrząsane. To problem, bo świat się zmienił i nie pragnie filisterstwa. W kraju to pojęcie nadal ma się dobrze. Lubość sprawiają nam imponderabilia, a społeczno - gospodarcze problemy niechaj same się rozwiązują. Bliski tej prozaicznej prawdy był bodaj C.K. Norwid (1821-1883) twierdząc, że Polacy to nie społeczeństwo, ale sztandar narodowy.

Kleszcze triumfalizmu

Być zakładnikiem rządzącej partii dla jednych jest duchową stabilizacją, może nawet

bezrefleksyjną rozkoszą, nadzieją na witalne tantiemy, bezpiecznym materialnym azylem etc. Dla innych rozgoryczeniem z kalejdoskopowym biadoleniem. Argumentów za i przeciw zatrzęsienie, jak na rodaków przystało. Wspólnym mianownikiem dla przerwania owej jałowej szermierki może stać się koncyliacja, ale jej nie sprzyja m.in. złotówkowy kombatancki przelicznik tzw. zasług w walce o wolność, tj. wyzwolenie spod rządów Peerelu. Problem w tym, że wnioski z tej pobieżnej analizy tamtego czasu wskazują na osłabianie ojczyzny przez owych bojowników. Aforystyczne podcinanie gałęzi, na której się siedzi realnością wdzięczy. Problem należności za tzw. patriotyczne zasługi w rujnowaniu kraju, tak już wówczas postponowanego, zadymił honor tzw. konspiracyjnej braci. Indywidualne wyceny dzisiaj przedkładane przez bojowników o ojczyźnianą niepodległość, którą wówczas również podarowali nam Wielcy, anulując jałtańskie umowy, wymaga pogłębionych studiów. Początek temu dał prof. Andrzej Walicki (1930-2020 r.).

Kwoty zapłat za patriotyczne usługi są niemałe. Przykładowo niedoszły premier z Krakowa wycenił swoją ponoć bezinteresowną waleczność z nieistniejącą komuną na ponad pół miliona złotych, którą dzisiaj ma mu wypłacić nie owa dawna grzeszność, lecz wolna RP, czyli podatnicy obecnego państwa. Złożą się na to również jego koledzy, znajomi i wielu innych sympatyków, ale także osoby nie sprzyjających wyrachowanemu pragmatykowi. W końcowym rozrachunku tzw. umiłowanie ojczyzny umniejszy zasobność budżetu wolnego państwa. Fakturowanie kombatanckich zasług, a podobnych przypadków jest sporo, to cień na życiorysach tamtych tzw. ponoć bezinteresownych bojowników o wolność. Ignorują też fakt, że status Polski przełomu lat 80. i 90. ubiegłego wieku to konsensus Wschodu z Zachodem. Wersja rodzimego wkładu w dzisiejszą wolność ma też swój opisowy wymiar i oby nie była to wyłącznie opowieść błądząca miedzy mamoną a podręcznikowymi hasłami: Bóg, Honor, Ojczyzna. I tym razem triumfalizm spoczął na chwiejnym piedestale.

Metodyka dochodzenia do wizjonerskiego stanu szczęśliwości nadal pozostaje w niezgłębionej przestrzeni, którą w pełni zniewolił triumfalizm. A to myśl odległa od czynów oczekiwanych przez suwerena. Może owym uduchowionym mrzonkom realności nada powołana w 2019 roku Polska Agencji Kosmiczna. Nie wiadomo tylko czy Mistrz Twardowski, polski Faust, który zaprzedał duszę diabłu, okupujący okrakiem księżycowy rogal zechce wesprzeć Nowogrodzką w jej międzyplanetarnych aspiracjach. Rokowania są kiepskie, jeśli nie rozróżnia się satelity od drona, a przyziemia od sennych urojeń.

Mnożenie mistycznych bytów, to nieprzystojna moda trwania u władzy za wszelaką cenę. Natomiast dochodzenie do wizjonerskiego stanu rozkoszy pozostaje na tyle tajemne, co świetlne miary odległości ku dostatkowi wyborcy. Rządowe zamysły premierowskim pustosłowiem obfitują. Znaczy to tyle, że fikcja nadal będzie administrowała państwem. Sądowe wyroki o kłamstwach premiera tego gwarancją. Można nad tym deliberować. Krętackie słowotoki władców to nic innego, jak osłabianie prestiżu Rzeczpospolitej. Ich opowieści pozostają w niezmierzonej odległości od praktycznego posiłkowania się arystotelesowską logiką interpretowania rzeczywistości (Arystoteles, 384-322 p.n.e.). Imbecylne gadulstwo może kluczyć tylko ku samozatraceniu.

Niełatwo aprobować kolejny partyjno-rządowy program mający ponoć nas uszczęśliwić. Trudno być optymistą, jeśli dotychczasowe wizje kończyły karierę na poziomie urzędowych wizualizacjach i krótkotrwałego medialnego dyskursu z dominacją ukłonów wobec rządzących, a prezesa nade wszystko. Jeśli mnoży się kolejne byty dla kraju i jego obywateli, to oczywistym obowiązkiem jest, jak wspomniano, zdanie sprawy z realizacji poprzednich wyzwań. Za tych rządów tego jeszcze nie doczekaliśmy się, ale kolejnych triumfalnych wizji, to i owszem.

Raptem z niebios spada następna autostrada ku obfitości pt. Polski Ład. Koncepcja oznajmiająca bezgraniczne sukcesy RP w żoliborskiej edycji. Ład, w rytmie starych obietnic, bazuje na redystrybucji dochodów państwa uzupełnionych unijnymi finansami, a więc sumy danin podatników, lokując je w wyrachowanym rozdawnictwie o pisowskich standardach, licząc na wyborcze poparcie, zamiast podejmować się trudu tłoczenia tych środków do społecznego obiegu poprzez przemyślane inwestorskie zamysły oraz systemowe socjalne reformy, dotyczące przykładowo doskonalenia opieki na dziećmi i młodzieżą czy zreformowania zasad świadczeń emerytalno rentowych miast upokarzającego mnożenia rocznych emerytur i to najczęściej w przedwyborczych chwilach. Rozdawnictwo to prymitywny, lecz nader prosty sposób dysponowania pieniędzmi podatników, najczęściej bez konsultacji z suwerenem. Sygnalizowany Nowy Ład promuje również chaotyczną konsumpcję, stroniąc od autentyczny reform. W ten sposób topnieją oszczędności. Zwiększa się zaś rola państwa w życiu obywateli. Zarządczy centralizm nabiera realnych egoistycznych kształtów, z czym już kiedyś się rozstaliśmy. Inwestycji takich, które będą pomnażać bogactwo narodu, jak na lekarstwo. Ponadto nie jest to projekt solidarnościowy, lecz obliczony na partyjną konsolidację. Perspektywa dobrobytu zatem może przyjąć respiratorową wersję. Duch tego Ładu przytłoczyła propagandowa wyrazistość, raniąc zdroworozsądkowe myślenie mieszkańców polskiej ziemi. Nie ujawniono ekspertyz, ale i też nie załączono projektów przepisów wykonawczych, stawiając w pytajniku jego skuteczność. Wiele zamysłów ma odległy czas realizacji Medialne, barwne doniesienia o walorach Ładu mają algebraiczno-agitacyjny walor, bo złotówka ma się jeszcze nieźle, co ponoć potwierdza nagroda przyznana NBP przez czasopismo Capital Finance International. Wydaje się, że bardziej swojsko byłoby nazwać ten wirtualny manifest: w poszukiwaniu polskiego ładu, coś na miarę bliską tytułowi jednej z prac wybitnego niemieckiego filozofa Erica Voegelina (1901-1985) – W poszukiwaniu Ładu.

Sporo przesłanek sugeruje, że Nowy Ład to partyjno-wyborczy program. Egoizm wszechmocy w zabieganiu o bezwzględną władczość wichruje uczciwość wobec suwerena. W tej szarudze tendencyjności, siłowa prezesura jest wyjątkowo kosztowną. Ale wódz musi odnieść kolejne zwycięstwo za wszelaką cenę, która jest ogromna, nie tylko w złotówkowym wymiarze. Niektórzy złośliwie uważają, że to następny program skłócania polskiego społeczeństwa. Obskurne pomysły wobec UE, ale i państw spoza niej noszą znamiona kultywowania zmierzchłej autarkii w przekorze do światowych tendencji. Punktują nas agendy UE, Rady Europy, TSUE, Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, gdzie ostatnio odrzucono trzech polskich kandydatów wytypowanych w nowogrodzkim gronie, z których jeden miał zasiąść w tej zacnej instancji, bo upływa kadencja obecnego sędziego z Polski. Odmówiliśmy też uczestniczenia w Prokuraturze Europejskiej UE, a KRS nadal jest zawieszona w prawach Europejskiej Sieci Rad Sadownictwa. Trudno zgłębić istotę polskiej racji stanu, jeśli takowa istnieje. W tak partykularnym wodewilu nie da się gruntować tendencji demokratycznych (gr. demos – lud, kratos – władza).

Polskie odrębne zdania na międzynarodowych forach szokują i są kolcami w europejskich kanonach zarządzania współczesnym państwem. Kordialne bycie w krajowej wspólnocie i światowej diasporze to niebywała umiejętność. Tam bowiem tkwią zarówno źródła sukcesów, ale i również klęsk. Despekty fundowane przez krajowych możnowładców w naiwności ugadzają w dotąd przyjazne państwa. Nasze osamotnienie wydaje się być tradycją. Cóż zatem się dziwić, że marzenia o unijnych pieniądzach stały się partyjnym argumentem targu pisowskiej niepojętej europejskiej polityki. Rządzący zlekceważyli fakt, że pozycja Polski w świecie jest wypadkową wewnętrznych problemów splecionych z międzynarodowymi interesami innych

państw. Ignorowanie otoczenia jest ułomnością, zważywszy, że tam nadal wiele życzliwości dla nas. Warunek jeden: przestrzegać zasady wzajemności. Niezrozumienie tego nasila niekorzystne odniesienia, a postępujący ostracyzm tego dowodem.
Zlekceważyliśmy sprzężenie zwrotne w obopólnych reakcjach. To wprawdzie domena fizyków, ale już uczniowie elementarnej szkoły potrafią odczytać i zinterpretować owe współzależności, niekiedy także w odniesieniu do ich dyplomatycznych zawiłości. Smutno, że rządzącym politykom sprawia to trudność. A po tzw. reformatorskich zapowiedziach szefa od wszelakiego szkolnictwa problemy fizyki i innych ścisłych nauk, także z obszaru biologii, ma rozwiać biblistyka oraz bliska niej, jeszcze nieopatentowana familiologia. W tych prowokacyjnych wobec świeckości państwa propozycjach problemem jest to, że minister od nauk, absolwent i naukowiec katolickiej lubelskiej uczelni nie zdołał zgłębić istoty ekumenizmu, pokory, tolerancji, traktowania wszelakich form ludzkiego istnienia jako boskich tworów, także tych o znamionach LGBT. Natomiast posiadł sztukę buty, arogancji, mnożenia inwektyw, odstraszania od katolickiej religii etc. To swoista antyreklama tej uczelni. Bezrefleksyjnie zarzuca UE niepraworządność. Jedyny argument, to gołosłowność. Nie jest też pewne, że w uszczuplonej strukturze międzynarodowych przyjaźni strategicznym partnerem pozostanie nam tylko Watykan. Ale i to jest złudne.
Za Spiżową Bramą tłoczą się obiekcje co do zachowań polskich funkcjonariuszy Kościoła, zarówno w świetle prawa kanonicznego, jak i krajowego kodeksu karnego. Rzymskich konkluzji chyba nie złagodzi nadwiślański triumfalizm, jeśli są szargane ewangeliczne wartości. Sytuacja unikatowa. Zatem w którym zaułku szukać roztropności, kiedy to rządzący o katolickim znaku w osmozie z krajowym Episkopatem wyznaczają granice obywatelskich wolności. Może to nowa jakość funkcjonowania państwa, ale już na pewno nie jest to formuła tolerancji.
Zatrważa arogancja państwa wobec werdyktów zagranicznych i krajowych sądów. Jeśli szef od sprawiedliwości pozwala sobie publicznie oznajmiać sugestie co do kierunków prowadzenia prokuratorskich śledztw jeszcze przed ich wszczęciem oraz krytykować werdykty sądów, także międzynarodowych w sprawach polskich, to perspektywę dla kraju zawłaszcza pesymizm. W państwie o ugruntowanej demokracji tej rangi biuralista, po takich występach nie zdążyłby odebrać następnej pensji, stając się politycznym bankrutem, a może i podsądnym. W Rzeczpospolitej jest inaczej. Najpierw państwo musi zostać pozbawione aktywów, a dopiero później ci, którzy sprowokowali taką sytuację mogą być ścigani. Szkody to fakty, a na tę chwilę jednym z liderów trwonienia obywatelskich pieniędzy pozostaje resort od sprawiedliwości. Werdykty sądów krajowych w sprawach rażących naruszeń praw osób w związku z przeobrażeniami w systemie prawnym RP już jest ogromna, a procesów w toku co niemiara. Niemal każdemu wyrokowi towarzyszy klauzula odszkodowawcza za doznane krzywdy. Także orzeczenia międzynarodowych trybunałów doszczętnie pogrążają ideę reformy sądownictwa w wydaniu prawej i sprawiedliwej partii. Nie są to odosobnione przypadki, ale niemal hurtowa negacja tego, co miało być znakiem jakości władczego obozu.
Wyroki te obciążają krajowy budżet niewyobrażalnymi kwotami. Tworzą też nieprzychylną atmosferę wokół kraju. Parlament Europejski i Komisja Europejska tym się zamartwiają. Poraża ich buta głównego tzw. reformatora wymiaru sprawiedliwości w Polsce. Niezrozumiałe jest także stanowisko jego przełożonych. Wynika z tego, że patronują tej pokerowej tzw. reformie sądownictwa, a zewnętrzne krytyczne uwagi co do stanu naszej praworządności traktują jako napaść na suwerenność Polski. Tłumaczenie naiwne, a porównywanie naszych rozwiązań w systemie prawa z unijnymi i innymi państwami, co stało się modne w instruktorskim przekazie dnia, jest tyle warte, co sąsiedztwo grochu z kapustą. W tym kontrapunkcie rację ma tylko

nadwiślański kraj z centralą na Nowogrodzkiej. Sobiepaństwo, to zaprzeczenie demokracji. Wniosków z historii żadnych.
Chęć bycia kimś na świeczniku, jest normalnym człowieczym zachowaniem, pod warunkiem dochowania umiaru. Z tym jest problem, bo górę wziął tryumfalizm nieudacznictwa, który jest rozmnażany w stachanowskim tempie. Ambicja rozsądkiem maszczona to impuls szlachetnych czynów. I to oligarchom należy dedykować. Bądźmy przy nadziei a może rządzących nawiedzi duch pokory. Dzisiaj czyńmy wszystko, aby dochować proporcji w nie zawsze zbieżnych koncepcjach. Pytanie: jaką Polskę rządzący nam oferują? Bo dotąd demolują tą zastaną. Entuzjastyczne oracje, co jest namiętnością premiera i wielu bliskich tej władzy, winny być poddawane szczegółowej społecznej wiwisekcji z racji złożoności skomplikowanej układanki zdarzeń ważących na losach kraju i obywateli. W tej chwili słowa prezesa, prezydenta, premiera i ich podwładnych są sublimacją folkloru oraz abstrakcyjnych opowieści pozbawionych konkretów. Ot takie pustosłowie dedykowane wiernym im słuchaczom. Realia różnymi refleksami błyszczą. Jedne rozjaśniają, inne kir przysłania, lecz w koncyliacyjnym marszu mogą w równej mierze kierować się także ku sukcesom. I tę sugestię winien poprzeć suweren w urnowej instancji. Jest to wprawdzie bierne oczekiwanie na zmiany, ale rewolucyjna nagłość może być nieszczęściem. Zawsze bezpieczny jest ugodowy wariant doskonalenia demokratycznych obyczajów.

* * *

Rządzący jednaką wstęgą oplatają sukces i sromotę. Wedle nich liczy się tylko to pierwsze. Natomiast przyczyny niepowodzeń są perfidnie lokowane na kontach opozycji, tak parlamentarnej i spoza Wiejskiej, a co już bardziej operetkowe, to również na poprzednich rządach, nawet tych odległych, tuż po 1945 roku. Dzisiejsi władcy posiedli umiejętność przerabiania własnych klęsk w werbalne, strojne komizmem i zarazem łkające żałością sukcesy. Odnośniki nie powinny tworzyć nowych irracjonalnych bytów, a jednak przykładowo ostatnia hakerska sensacja z gabinetu premiera wzięta, zagrażająca bezpieczeństwu państwa pozostała w tradycyjnym chłodzie refleksji, także szefa od bezpieczeństwa państwa, który w wydanym oświadczeniu oznajmił, bez pożądanych uzasadnień, że sprawcami są osoby ze wschodniego obszaru i w tym punkcie problem zechciał zakończyć. Zapomniał o dziennikarskiej dociekliwości. Banalnie prosta, ale jakże naiwna taktyka. Społeczeństwo rozumem stoi i nie daje temu wiary. Rządowe argumenty chyba zostały z piaskownicy wzięte: to nie ja, to on. Naiwność takiego rozumowania traci gen pedanterii. Zwycięstwa i klęski pozostają w symbiozie, a rzetelność ich wyceny to kanon uczciwości rządzących nade wszystko wobec suwerena. Taka konstatacja jest niestrawna dla Nowogrodzkiej, która uważa się za monopolistę sukcesów. Resztę milczeniem okrywa i grozi karami za nieprzychylne komentarze, także w tej sprawie. Winna mieć też świadomość, że jej los mieści się w urnowym wyborczym wsadzie, który przeróżnymi wersjami krzyżyków obfituje i nie zawsze w duchu różańca.
Guru prawej i sprawiedliwej formacji dba wyłącznie o własne ego, bo widmo zejścia z politycznego widnokręgu zazwyczaj nie tylko mentalną sromotą i zapomnieniem owocuje. Świadkiem historia. Natomiast partyjne otoczenie perfidnie żeruje na czasowym jego możnowładztwie, nie szczędząc wazelinowego podkładu. Ani to humanitarne, ani ewangeliczne, ale powszednie w autorytarnej polityce, ale na pewno obrzydliwe. Medialne występy pretorianów triumfalizmem kraszone domieszką arogancji, łaskoczą podniebienie prezesa, pod warunkiem, że nie wybiegają poza myślowe partyjne ogrodzenie, co dnia

uściślane. Naruszenie tego etanolu, to surowa reprymenda, bliska decyzji o wykluczeniu z tego grona. Pojawia się pytanie: kto zdoła zapalić światło w ciemnych głowach (Sandor Marai, 1900-1889, węgierski pisarz, polityczny tułacz).
Samolubność, jak i inne mentalne stany mogą wyzwalać poczucie wszechmocy. Wyobraźnia to skarb, który z umiarem dawkowany może być pomocny nawet w partyjnych kalkulacjach i rylcem szkicować kolejne dzieło. Natomiast przedwcześnie głoszony triumf (łac. triumphus) może pozostawać w kontraście do pierwotnego antycznego jego rozumienia. Ongiś laureatami takiego wyróżnienia byli wyłącznie wodzowie dopiero po odniesionych zwycięstwach. Lekceważenie klasyki, to smutne zachowanie. Do tej starożytnej reguły, ale nadal świeżej, winna też z szacunkiem odnosić się opozycja, bo głoszony przez nią in spe triumfalizm m.in. o bezwzględnych rozliczeniach za rządowe czyny i zapowiedź stawiania przed Trybunałem Stanu i sądami powszechnymi dotychczasowych władców wymaga roztropności, ale nade wszystko wyborczego sukcesu. Publiczne zaklęcia, jakie by one nie były, tylko takimi pozostają do czasu nadania im oczekiwanych praktycznych wymiarów. Aranżacje muszą posiadać szlif realności. Inaczej mogą podzielić los na modłę straceńczej szarży w wodach Elstery. Jakże to bliskie naszej romantycznej wyobraźni.
Ułomnością rządzących jest mylenie wolności z suwerennością. W tym nierozumnym potrzasku znalazł się unijny plan ożywienia gospodarek: naszej i innych państw członkowskich. Szansa rozwoju kraju ogromna, ale nieroztropność rodzimych władców przekroczyła obywatelską uczciwość. Rzecz w tym, że miliardy złotych dla nas przeznaczone usiłuje się postawić na ruletkowym blacie tylko po to, aby merytorycznie ułomny, ale z pakietem zawiści szef od sprawiedliwości był chroniony za nieudolną reformę sądownictwa. W tym punkcie Krzyk Edvarda Muncha (1863-1944) mógłby być refleksją dla rządzących, pod warunkiem, że jego odczyt zostałby poprawnie zrozumiany, tak wobec dnia dzisiejszego, jak i perspektywy.
Z publicznych objawień wynika, że władzy – w swoim interesownym rozczłonkowaniu – chodzi o unijne, dotąd niespotykane dla nas finanse i o jednocześnie przykrycie nieudolnych tzw. sądowniczych reform zmydlonych bałwochwalstwem. Pisowcy naiwność promują, twierdząc że nadmiar finansów szkodzi suwerenności. Od kiedy to bogactwo zagraża niezależności. Zachłanność już tak. Proza jest taka, że im więcej finansów, tym większa swoboda. Ale wizja rządzących nami jest prozaiczna: dajcie pieniądze i wara wam od kontroli ich wydatkowania przez nas. Rządowa buta infantylizmem powala. Pieniądz waży na swobodzie, a kto tego nie pojmuje winien stronić od merytorycznych posad. To, że wydatkowanie wspólnotowych pieniędzy, a więc podatników unijnych państw, wymaga nadzoru, sprawdzeń, audytorskich procedur itp. jest niekwestionowaną oczywistością, ale tylko dla roztropnych przywódców. Bojaźń rządzących RP przed zewnętrznym oglądem audytorsko - prawnego stanu gospodarowania wspólnotowymi finansami tym bardziej sugeruje potrzebę uściślenia nadzoru na dysponowaniem unijnym kapitałem. Rządowo – partyjne zachowania mnożą wątpliwości co do naszej rzetelności., potęgując międzynarodowy sceptycyzm, a jedną z jego wersji jest izolacja. Ten proces odbywa się na naszych oczach.
Należy zapytać, gdzie się skryła polska dyplomacja? Zajmowanie etatów przy ulicy Szucha w Warszawie, to jedna rzecz, ale efektywność ich wykorzystania, to sprawa najważniejsza. Z tym kłopot. Chyba znalazło tutaj zastosowanie prawidło uczonego C.N. Parkinsona (1909-1993), że jeśli jest dostatek urzędników w instytucji, to mają tyle problemów z sobą, że braknie im czasu na kontakt z otoczeniem, które nawet staje się zbędne. Okazuje się, że owe spostrzeżenie Brytyjczyka znalazło potwierdzenie w naszej instytucji od zagranicznych spraw, a może nie tylko tam. Wewnątrz wrze, a na zewnątrz błogostan, bo świat uwalnia się od sobkowskich

macierzy, w których trwa personalna bijatyka bez szans na międzynarodową koncyliację. Skutek taki, że nasz kram jest ignorowany na dyplomatycznym targowisku. A stoisko bez solidnej klienteli takim pozostaje, mając wizję plajty.
Dyrekcja od sprawiedliwości usiłuje przyćmić kosztowne błędy przez siebie popełnione, których zatrzęsienie. Rezygnacja z miliardów dla Polski i obywateli tylko po to, aby jeden z ministrów miał dobre samopoczucie jest niepojęte i bliskie sabotażowi. Pora więc na bogobojne wyznanie skruchy w obliczu prawdy, a ona jest tylko jedna. Wówczas i triumf będzie autentyczny. Chowanie się w zakrystii nie przystoi nawet ministrantowi, a cóż dopiero konstytucyjnym ministrowi.

Janina Łagoda